



CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE
DLA DZIECI.

Prenumerata wynosi: w Warszawie Rocznie Rs. 4 i kop. 10 na Szpital Dziecinny.—Kwartalnie Rs. 1 i kop. 2½ na Szpital Dziecinny.—
Na prowincyi i w Cesarstwie z opłatą poczt: Półrocznie Rsr. 2 kopiejek 50 i 5 kopiejek na Szpital Dziecinny. — Za granicą Rsr. 6.—
Adres Redakcyi: Ulica Marszałkowska Nr. 77.

Treść.—Ziarnka moralności (z drzeworytem).—Czytania wieczorne, przez Anastazję Dzieduszycką.—Wilki, (z drzeworytem), przez M. J. Zaleską.—Pozory często mylą, Komedyjka w 1-ym akcie, przez Jaskółkę, (dokończenie).—Rycerz błękitny, powieść historyczna, przez Teresę Jadwigę.—Rozmaitości.—Zagadki.—Łamigłówki i rozwiązania.—Śpiew.



Polowanie na wilki.

Ziarnka moralności.

Dwunastoletnia Różia miała młodszego od siebie braciszka, Ignasia, którego kochała niezmiernie, chociaż nieraz pomimo tego obcho-dziła się z nim niegrzecznie i bardzo przykrą była dla niego. Bo Różia przy dobrém sercu i roztropności niecierpliwiła się często i nie umiała się powstrzymać w swoich popędach. Jeżeli Ignas, zwyczajnie jak dziecko, naprzykrzył się jej, coś porozrzucił lub zepsuł, ona zaraz wpadała w gniew, krzyczała na niego, nazywała go nieznośnym, brzydkim, a czasem nawet, tak się zapominała, że podnosiła rączkę na brata i uderzała go z całej siły. Biedny Ignas zaczynał płakać, a jej zaraz się żal robiło, bo nie była zła, tylko popędliwa; ścisnęła więc braciszka, przeproszała i zawsze się wszystko kończyło najlepszą zgodą. Matka, która była wdową od lat kilku i oprócz tych dwojga dzieci nie miała innéj pociechy w życiu, ze smutkiem patrzyła na to postępowanie córki i zawsze ją strofowała, upominała, przedstawiając jej, że cierpliwość każdemu z nas konieczna jest potrzebną, bo wszyscy musimy znosić różne przykrości i przeciwności, wszyscy też nie tylko z własną rodziną, ale i z obcymi ludźmi musimy się zgodzić. Różia płakała, przeproszała matkę, a zawsze w końcu mówiła:

— Moja mamó, ja wiem, że to złe, mnie zawsze potem tak żal, jak mnie ten gniew odejdzie, ale kiedy się wstrzymać nie mogę, doprawdy, mateczko, żadnym sposobem nie mogę się wstrzymać.

— Wstydz się—mówiła matka—czyż nie wiesz, że człowiek poto ma rozum i wolę, żeby złe swoje popędy przewycięzał, czyż nie wiesz, że Bóg łaski swéj i pomocy nie odmawia nikomu, kto szczerze tego pragnie?

Różia nieraz nawet postanawiała się poprawić, ale widać, że nigdy nie uczyniła szczerzego i silnego postanowienia, bo zawsze swoim zwyczajem wpadała w popędliwość, ile razy braciszek jej w czemkolwiek dokuczył. Pewnego dnia rozkrzyczała się okropnie na niego, po-pehnęła go nawet i szturehnęła, bo Ignas rzeczywiście dziwnie się jakoś rozgrymasił i marudził sam nie wiedział czego; w końcu pobiegł do matki i zaczął się skarżyć, że go

główka boli. Przeleżała się matka, zwłaszcza, gdy spostrzegła, że chłopczyk miał główkę gorącą i twarzyczkę czerwoną, rozpaloną. Posłano zaraz po doktora, Różia, rozplakała się, bo jak zwykle, żal jej się zrobiło po niewczasie, że tak przykrą była dla małego, a do tego chorego braciszka. Ignas dostał gorączki, a doktor zalecił jak największy spokój i powiedział, że choroba jest niebezpieczną. Matka dzień i noc nie odstępowała łóżeczka Ignasia, spełniając wszystkie przepisy lekarza i modląc się gorąco, ażeby jej Bóg zachował ukochane dziecię—a co się działo z Rózią, to sobie łatwo wyobrazić. Teraz, kiedy braciszek był taki chory, kiedy czuła, że go ufracić może, zrozumiała dopiero, jak on był dla niej drogim, jak go kochała gorąco; ale zarazem dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie była dla niego dobrą, łagodną siostrzyczką, a nawet już w początkach choroby tak popędliwie się z nim obeszła. O jakże teraz, prosząc Boga o zdrowie Ignasia, jakże szczerze prosiła także o łaskę, ażeby mogła poprawić się, zwyciężyć tę nieszcześliwą skłonność do zapaleczywości i gniewu.

Ignas ciężko chorował, ale Bóg zlitował się nad jego biedną matką i zachował go przy życiu; długo jednak bardzo nie mógł przyjść do zdrowia zupełnego, był osłabiony, a jak to zwykle bywa z małemi dziećmi po chorobie, często bardzo grymasił. Nikt jednak nie potrafił mu tak dogodzić, tak go rozerwać i zabawić, jak Różia. Dziwna w niej teraz zaszła zmiana; nigdy się nie sprzeczała z braciszkiem, nie zniecierpliwiła ani na chwilkę, z największą łagodnością i słodyczą zaspakajała wszystkie drobne jego zachcenia, nie uprzykrzyło jej się po dwadzieścia razy ustawić żołmerzy, lub domki z kart, które on co chwila przewracał; gdy, pomimo wszelkich jej usiłowań, chłopczyk zaczynał się krzywić lub napierać takich rzeczy, których mu dać nie było można, ona zawsze w porę umiała powiedzieć coś tak zabawnego, że go rozśmieszyła i zapominał o swoich wymaganiach. Matka z radością spoglądała na tę korzystną zmianę w usposobieniu córki, a raz, trzymając na kolanach Ignasia, który coraz lepiej wyglądał i coraz mniej już starań wymagał, powiedziała do niej z uśmiechem:

— Cóż, czy przekonałaś się teraz, moja Róziu, że można się powstrzymać w popędach i zwyciężyć niecierpliwość?

— O mamol!—Rózia nie więcej wymówić nie mogła, bo z wielkim wstydem przypominała sobie dawniejsze swoje postępowanie.

— Widzisz, moje dziecko—mówiła matka—pragnęłaś szczerze poprawić się i Bóg ci dopomógł. Pragnęłaś tego, bo kochasz bardzo brata i miłość ta zwyciężyła w tobie złość i niecierpliwość. Pamiętajże sobie na całe życie te piękne słowa S-go Pawła Apostoła: *Miłość jest długo cierpliwa, miłość nie zazdrości, złości nie wyrządza, nie myśli złego. Wszystko znosi, wszystko wycierpi.—I trwają trzy cnoty: wiara, nadzieja i miłość, a z nich najcenniejsza miłość.*

Czytania Wieczorne.

II.

Tydzień upłynął, a czytania wieczorne nie powtórzyły się w bawialni p. Kańskich. Różne były przeszkody; któż je wyliczy? Raz ojciec o tej godzinie wyjść musiał, to znowu Staś i Kazio nie nauczyli się w porę lekcji; innego dnia gość rzadki przerwał zwykły tok zajęć, wreszcie po tygodniu znowu się wszyscy na miejscu znaleźli, a Józia, objawszy wzrokiem całe zgromadzenie, zawołała:

— Dzisiaj może przecie czytanie się uda, siadajmy!

Posłuchano głosu dziecka, bo wyrażał ogólne życzenie. Pan Kański otworzył książkę, a po chwili, znalazłszy szukany ustęp, podał otwartą książkę Hali.

— Niemógłbym dziś czytać, bo mnie gardło boli i korzystam z tej sposobności, aby twoją biegłość wypróbować. Wyraźne, zrozumiałe i piękne czytanie, należy do darów bardzo w życiu towarzyskiemu pożądanym, dla tego zapowiadam, że dzieci po kolei głośno tu czytywać będą!

— Czy i ja?—nieśmiało zapytała Józia.

— I panna Józefa dobrodziejka—odparł ojciec—im wcześniej się w tej sztuce ćwiczyć zaczniesz, tym lepiej się w niej wydoskonalisz.

— Zaczynajmy—i Halka czytała płynnie i ze zrozumieniem rzeczy:

WIANO KRÓLEWNEJ.

Adama Gorczyńskiego.

Głośnie po całym mieście nowiny:
Przybyli wielcy panowie;
Po ich odzieży poznać i mówić,
Że jadą z obcej krainy.

Stoją na rynku, nieś skora nogę,
Nieś tę nowinę staroście;—
Jeden do zamku pytał o drogę,
Może do króla to goście?

Bo zacni jacyś: ten co na przedzie,
Mnogo ma srebra na sobie;
A koń, na którym ten starszy jedzie,
Godzien przy króla stać żłobie.

Takimi słowy gwarzą mieszkańce
Budy, węgierskiej stolicy,
Bieżąc na zamek, kędy wysłańce
Polskiej jechali ziemicy.

Kiedy tak gwarzy ciekawy lud,
Tymczasem zaone te goście
Starą ulicą w królewski gród
Wjeżdżali bramą po moście.

I po stolicy biega nowina:
Księcia polskiego to posły,
Wysłał ich książę, aby dla syna
Oblubienicę przyniosły.

Król Bela zasiadł w złotej stolicy,
Młodzieuchny przy nim królewic,
Śliczna królowna w ojca lewicy,
Kinga z orszakiem swych dziewic.

Zasłona z miękkich snuła się włosów
Na twarz myślącej dziewicy;
W ręku paoiorki miała z kokosów,
Z obrazkiem Boga-Rodzicy.

Weszli posłowie—schyleniem głowy
Oddali pokłon monarsze,
I łacińskimi przemówił słowy
Posel, co lica miał starsze.

Król Bela dobrą dał im odprawę,
Tęm się nie mało radował,
Że mir z sąsiadem krajowi sławę,
I bezpieczeństwo rokował.

Więc do królowej czoło swe nagnie
I rzecze: Boska w tęm wola;
Bolesław ciebie za żonę pragnie,
Dobra z nim czeka cię dola.

Liść dziewiczego zamienisz wieńca
Na dyamenty korony;
Posel nawiastkiem dziś nowożeńca,
Z tobą on będzie złączony.

Zatém wyprawę dłonie niewieście
Niech szyją we dni i nocy—
I rzemieślnika, co w mojem mieście,
Przydać ku pędniejszej pomocy.

I miła córo, w posagu tobie
Dam srebra siedem tysięcy,
Abyś w przystojnej była ozdobie
W nowej stolicy książęcej.

Umilkł—i długo milczy królowna,
Zdarzeniem zdziwiona nowém,
Niby chce mówić, niby niepewna,
Jakim odezwać się słowem.

Utkwiła w niebo ślicznych ócz dwoje,
I mówi: Stań się twa wola—
Głos Boży płynie w to serce moje
Ustami ojca i króla.

Więc ja ojcowską szanując wolę,
Pójdę w tę ziemię nieznana,
Aleć nie srebrem jaśnieć na czole,
Inne przysłało mi wiano.

I posłów wzywa: niechaj ogłaszą
Swojego kraju potrzeby.—
Ci mówią: Srebro—obcy nam znoszą
Za nasze miody i chleby;

Garniem owoce z sadów i roli,
Ni nam żelaza nie braknie:
Na jednej jeno zbywa nam soli,
Ach! soli naród nasz łaknie.

A Kinga:—Królu! jeżeli z wianem
Masz twoję wyprawić córę,
Z gór twoich solnych daj jedną górę,
Oddam ją moim poddanym.

Król rozmieszony taką przemową
Odpowic:—Dobrze me dziecie,
Weź sobie górę, weź Stefanową,
W niej soli leży obficie.

Na to królowna, pierścionek zdjawszy,
Daje ten posłu znak niby,
By na Stefana górę stanawszy,
Pierścionek w dno wpuścił szyby.

Odjechał poseł—nim zaszedł dzionek,
Wypełnił ten rozkaz Pani,
Cechę królownej, złoty pierścionek,
Wpuścił do solnej otchłani.

Z tém gdy się sprawił, wracał do Budy,
Tak myśląc: Będzie miał król
I koszta wielkie i wielkie trudy,
Z dała przewozić tę sól.

Wraz się odbyły zwykle obrzędy—
A Kinga z dziewic orszakiem,
Na koniu strojnym w bogate rzędy,
Polskim puściła się szlakiem.

Przebywszy wielkie góry i wody,
W mieście Wieliczką nazwaném,
Witał się z żoną Bolesław młody,
Kinga z swym mężem i panem.

A odsłoniwszy dłoń z rękawiczki,
Niby szukając pierścionka,
Rzecz: Tu kopcie w rynku Wieliczki,
Kopcie od zachodu słońka.

Bolesław lubo nie pojął zrazu
Słów wymówionych znaczenia,
Powtórzył słowa Kingi rozkazu,
I kazał szukać pierścienia.

A lud jął kopać, worów немало
Ziemi wyciągnął ze studni;
Gdy się motyka otarła z skałą,
I kamień pod nią zadudni.

Po ciężkiej pracy już z głębokości
Wydobyta na wierzch bryła:
To sól! wykrzyknął naród z radości:
Bo solna skała to była.

Jeszcze się ludy temu dziwiły,
A Kinga znowu zaleci
Rozbijać bryłę i oto z bryły
Pierścień świecący wyleci!—

A Kinga rzeknie: Węgierski król
Srebra i soli jest Panem;
Chciał córę z srebrnem wyprawić wianem,
Kinga prosiła o sól.

Król solną górę dał swojej córce,
Dziś matce chrobrych Polaków;
A Bóg rozkazał tej solnej górce,
By sól przeniosła pod Kraków.

Składając Bogu dzięki powinne
Naród niech dzisiaj się szczyci:
Solą żywiły go kraje inne,
Dziś solą inne nasyci!

Gdy skończyła, Staś rzekł:

— To nie bajka, bo uczyłem się o tém
w historyi, że za czasów Bolesława Wstydl-
wego i żony jego Kunegundy, kopalnie soli
odkryto w Wielicze.

— Prawda—wtrącił Kazio, ale przecież
wiele tu rzeczy jest nieprawdopodobnych, jak
w bajce. Trudno np. przypuścić, żeby pier-
ścień Kingi w Węgrzech do szybu solnego
rzucony, miał się pod ziemią w Wielicze
znaleźć, a cała góra przeniosła się z Węgier
do Polski.

— Masz słuszność, Kaziu — rzekł ojciec — ale w czasach dawniejszych często bardzo do wypadków prawdziwych mieszano szczególne bajeczne, bo ludzie mało oświeceni, tak jak i dziś, tak i dawniej łatwo w nie wierzyli. Nie pojmując tego, co się w przyrodzie około nich dzieje, bali się każdego zjawiska, albo dziwne przypisywali mu własności. Grecy twierdzili, że Jowisz ciska pioruny, do niedawna w kometach upatrywano straszne wróżby; teraz wiemy, że piorun jest potężną iskrą elektryczną i za pomocą piorunochronów możemy od gromu budynki zabezpieczyć, a komet nie boimy się więcej, niż księżyc lub gwiazd, codzień niebo nasze zdobiących.

— Prawda, ojciec — odezwała się Józia — ale to co wiemy o królowej Kindze, to przecie w historyi zapisane, więc to prawdą być musi.

— Niekoniecznie, moja panno. Historyą taką, w której jest sama prawda, później dopiero ludzie pisać się nauczyli; dawniej historyk spisywał wszystko, co zasłyszał, a jeszcze dawniej nikt wypadków nie zapisywał. Za czasów Bolesława Wstydlivego spisywano już u nas wprawdzie wypadki, ale ważniejsze tylko, a inne powtarzano sobie, czyli podawano z ust do ust i to zwano podaniami. Otóż wiesz, jak to było, gdy znajomy nasz Henryś w Radomiu spadł ze schodów i nogę zwichnął; wiadomość ta doszła do nas po tygodniu, ale mówiono, iż złamał nogę, rozbił głowę, oko pono jedno stracił! Dla czegoż wieść ta tak zmienioną została? oto dla tego, że jeden wiadomości niedosłyszy, inny powtarzając coś przekręci, inny coś doda dla ozdoby i w końcu rzecz wypada wcale do prawdy niepodobna. Tak się działo i z podaniami historycznymi.

— Przecie trudno odgadnąć, co by temu dało początek? — wtrąciła Halcia.

— Może nie tak bardzo — odparł ojciec, uśmiechając się. — Popróbujmy: Wiemy, iż przed panowaniem Bolesława Wstydlivego Polacy sól w Węgrzech kupowali, bo u siebie jej nie mieli; było to wielką dla nich niedogodnością. Naraz przybywa do Budy świętne poselstwo polskiego królewicza i prosi o rękę królowej. Wdzięcznie przyjmuje je Be-

la i w hojności swojej daje córce jedną ze swych gór solnych, czyli pozwala zapewne Polakom bez żadnych opłat czerpać sól z tej kopalni. Ale nie dość na tém; węgierscy górnicy znają zapewne oba stoki Karpat, wiedzą, że i na północnym znajdują się szyby solne, mówią im o tém tu i tam znajdujące się słone źródła, te same tu i tam ziemie i kamyki. Oni dotąd milezeli, bo sól, to wyłączne ich kraju bogactwo — dla czegoż przed sąsiadami mieli zdradzać tajemnicę? Ale teraz królowna jedzie do Polski, staje przed nią pewnie jeden z żupników węgierskich i pyta, czyby nie chciała nowy swój lud zubożać skarbami solnemi? Odpowiedź królowy łaskawa, daje żupnikowi pierścień drogi z poleceniem, aby go jej wręczył w Polsce, gdy obietnicę swą dotrzyma i szyb solny w Polsce otworzy. Żupnik nie traci czasu — w Budzie gotują wyprawę królowy, a w Wieliczce kopie rąk wiele — i gdy Kinga staje u wrót Krakowa, żupnik zwraca jej pierścień, sól z Węgier przeniosła się do Polski.

— A tak, tak to być mogło; pewnie tak było! — wołały dzieci ucieszone. — Ale dlaczego w podaniu tyle zmieniono?

— Z początku, za panowania Bolesława Wstydlivego i Kingi, lud z Wieliczki i z okolic musiał zapewne dobrze te szczegóły pamiętać i wiernie je powtarzać, ale z czasem wspomnienia się zacierały, zapomniano o drobniejszych szczegółach i powoli zostało to tylko w pamięci, że przed Kingą w Polsce soli nie było, a po jej panowaniu była wielka jej obfitość. O więcej nie pytano, bo ludzie jeszcze nie byli nawykli tłómaczyć sobie rozumnie rzecz każdą.

— Ale przecie poezya, którą Halcia przeczytała, bajką nie jest? — rzekł Staś.

— Opowiadanie wypadków historycznych, z ust do ust pomiędzy ludem przechowane, zwiemy podaniem, a legendą, gdy jest mowa o szczegółach wziętych z życia Świętych, albo odnoszących się do miejsc cudownych.

— Że podanie, to rozumiem — wtrąciła Józia — ale, dlaczego legenda?

— O, moja ciekawska. Wyraz ten pochodzi od wyrazu łacińskiego *legere*, czytać. W klasztorach było we zwyczaju, że gdy bracia zakonnici zasiedli w refektarzu do obiadu

lub wieczery, jeden czytał głośno ustęp z życia Świętych i ztąd opowieści tego rodzaju, najczęściej cudowne, nazwano legendami.

— Czy lud sam tak ułożył tę legendę, jak nam ją Halcia przeczytała?—zapytał Kazio.

— Nie—odparł p. Kański—lud to wydarzenie po prostu opowiadał, a Gorczyński poeta, treść tę wziętą z ust ludu powtórzył płynnym wierszem, dodawszy niejedną szczegół, niejedną ozdobę, poznał bowiem, że treść to zajmująca i pięknie oddaną być może. Tak czyni każdy poeta: zasłyszysz o jakimś zdarzeniu, o jakimś szczególe, ujrzy przedmiot jakiś, któryby nie zwrócił uwagi zwykłego człowieka i dojrzy w nich wiele piękna i opisz te przedmioty, ale tak, że i my zwykli ludzie nie możemy już tych piękności nie widzieć.

— Mnie się w tej legendzie Kinga podobą, bo ona od razu nowy lud swój kocha i uszczęśliwić go pragnie—wtrącił Staś.

— I mnie—dorzucił Kazio—gdy prosi o sól, która każdemu potrzebna, a nie o srebro.

-- A przytém pięknie to ułożył Gorczyński, bo tak prowadzi opowieść, że się długo nie wie, na czém się to skończy, dlaczego Kinga pierścień rzuca do szybu; to właśnie zaciekawia i zajmuje.

— Istotnie—dodał ojciec—zaleta to autora, gdy tak opowiadanie prowadzi, że nasza uwaga do ostatniej chwili jest podtrzymana, a nasza ciekawość wzrasta.

— O, ja czasem, gdy nie mogę odgadnąć, jak się powiastka skończy, to zaglądam do końca książki—zawołała Józia.

— I zapominam, że taka ciekawość niecierpliwa, to.... Ale dość na dziś, teraz gry ruchliwe, a potem spoczynek.

— A co jutro będzie, tatku?—wołały dzieci.

— Zobaczymy...

Anastazyja Dzieduszycka.

WILKI.

Wiecie już, czytelnicy, z poprzedniego opowiadania o psie, że ten poczciwy, wierny towarzysz człowieka, wielkie przedstawia podobieństwo do drapieżnego i żarłocznego wilka, obaj też do jednej są zaliczeni rodziny.

Tymczasem wilk, nie tylko że nigdy nie był przyjacielem ludzkiego rodu, ale przeciwnie od niepamiętnych czasów, we wszystkich baśniach i podaniach, uważany był zawsze jako wróg nasz zacięty i nieprzejednany. Nawet w znanym przysłowiu: Nie wywołuj wilka z lasu—wyraźnie wilk uchodzi za coś bardzo złego, czego zawsze unikać potrzeba.

Wilki trzymają się stref północnych i umiarkowanych, różnią się pomiędzy sobą kolorem sierści, która jest zwykle jaśniejszą w okolicach bieguna. Włóczą się zwykle licznymi gromadami, szukając pożywienia, a wtedy biegną często jeden za drugim długim sznurem i napotkawszy zdobycz, trzodę na przykład, okrążają ją i ze wszystkich stron razem napadają. Wilk z natury bojaźliwy, gdy nie jest głodny, ucieka jak tchórz przed niebezpieczeństwem, ale zgłodniały nabiera okropnej odwagi i rzuca się z zajądlnością na każde bydło, nie zważając na jego siłę i na człowieka, choćby uzbrojonego. Nawet huk palnej broni nie odstrasza go wówczas wcale. U nas w Europie, gdzie niema ani lwów, ani tygrysów, wilki zawsze uważane były za najdrapieżniejsze zwierzęta i tępiono je bez miłosierdzia wszelkimi sposobami. Dotąd jednak tylko wyspy Wielkiej Brytanii zupełnie są od nich wolne, bo je wyniszczono, a przez morze nie mogą się tam dostać z innych krajów. Im mniej lasów w jakiej okolicy, tém mniej naturalnie i wilków, bo one się kryć muszą w miejscach niedostępnych. Włóczą się jednak gromadami i na stepach bezludnych. Wilk jest tak żarłoczny, że żadną zdobyczą nie gardzi; napada konie, bydło, ale i myszy i żaby i owady nawet pożera, a najwięcej okazuje upodobania do padliny. Rzadko bardzo i tylko wielkim głodem przyciśniony, zwraca się do roślinnych pokarmów i obgryza mech i pąki z drzew. Ale w niedostatku pokarmu widziano nieraz wilki pożerające kawałki skór, stare łachmany i różne podobne odpadki, walające się po śmietniakach.

Wilk łatwo się męczy i nie może długo uciekać, gdy go myśliwi gonią; nieraz też można go kijem dobić po dłuższej pogoni, kiedy upadnie na siłach. Laponczycy zwykle tym sposobem urządzają polowanie na wilki. Gdy

śniegi spadną, uzbrajają się w długie kije, z uwiązany na końcu nożem, wypatrują wilki i puszczają się w pogoń za nimi na szybkich łyżwach. Zwierz, grzęznąc w śniegu, nie może biedz długo i zmęczony z łatwością daje się pokonać.

Psy, pomimo tak blizkiego pokrewieństwa z wilkami, nienawidzą ich i walczą z nimi odważnie. Gdy wilk napada trzodę, wierny pies broni jej z największą gorliwością. Na Ukrainie, gdzie jeszcze dotąd dużo wilków kryje się po lasach, urządzają na nie polowania z obławą. Cały las otaczają sieciami, a wilki wystraszone ze swoich kryjówek szczekaniem psów, nawoływaniem myśliwych, hukami broni, biegają po lesie, a wymknąć się nie mogą przez sieci. Strzelcy, rozstawieni po lesie w pewnych odstępach, z łatwością je wtenczas zabijają. Takie polowanie przedstawione jest na rycinie.

M. J. Z.

POZORY CZĘSTO MYŁĄ.

Komedyjka w jednym akcie.

PRZEZ JASKÓŁKĘ.

(Dla Brońcia.)

(Dokończenie).

BRONCIA. Jakto? Stryj to pani pokazywał.

PANNA BARBARA. Była to jakaś oda do księżycy.

BRONCIA (rumieniąc się). Ależ...

PANNA BARBARA (figlarnie). Nie masz się czego wstydzic... Nie ty jedna pisałaś do księżycy. Tylu już innych zwracało się ku niemu z miłemi słówkami. Całe szczęście tylko, że on tak wysoko, to tego wszystkiego nie słyszy.

BRONCIA. Pani to uważa za śmieszność, nieprawdaż?

PANNA BARBARA. Gdy kto pisze wiersze?

BRONCIA. Tak...

PANNA BARBARA. Wcale nie, byle tylko dobre. Ja bardzo lubię i cenię poezyą.

BRONCIA. Pani?

PANNA BARBARA. A na dowód, że tak jest, powiem ci, że czytała przez drogę Pieśń o

ziemi naszej, Pola, a czytam po raz już nie wiem który...

BRONCIA. Jakto? Czy tam gdzieś na prowincyi, gdzie pani była, znają Pola?

PANNA BARBARA. A gdzieżby go nie znali? Znają, a nawet naśladują... Przywiozłam ci właśnie, jako amatorce wierszy, cały zeszyt, jeszcze niedrukowanych, z nadpisem dla ciebie.

BRONCIA. Czy to być może?... Od kogo?...

PANNA BARBARA. Od kogoś, co cię niedawno poznał... bardzo niedawno, bo dopiero dzisiaj...

BRONCIA (zaciekawiona). Gdzież one są?

PANNA BARBARA. Dain ci je pod jednym warunkiem...

BRONCIA. Pod jakim?

PANNA BARBARA. Że mi pokażesz swoje...

BRONCIA. Moje? Ależ ja nie jeszcze nie mam. Zaczęłam dopiero pierwszą zwrotkę.

PANNA BARBARA. To mi ją przeczytaj.

BRONCIA. Nieśmiem, doprawdy.. To miało być powinszowanie dla mamy, ale mi się zupełnie nie udało!

PANNA BARBARA. Przeczytajże.

BRONCIA (czyta).

Nadeszła wreszcie chwila pożądana,

I nadszedł dzień ten, co jak gwiazda świeci.

Czegóż ci życzyć, matko ukochana?

Czego?...

PANNA BARBARA. A dalej?

BRONCIA. Niema dalej.

PANNA BARBARA. Czego? Pocięchy z twych dzieci.

BRONCIA. Ależ to doskonale... Jaki to pyszny rym!

PANNA BARBARA. A tyś tego wiersza nie mogła ułożyć?

BRONCIA. To jest... ja go miałam w myśli... ale nie mogłam znaleźć miary, ani rymu... alem go miała w myśli, doprawdy...

PANNA BARBARA (figlarnie). Rada jestem, że tę myśl twoją odgadła.

BRONCIA. Doskonale, jakby swoją własną; (Idzie do biurka, aby ten wiersz napisać). Ach! gdybym mogła jeszcze ułożyć drugą zwrotkę... Bo jedna to jakoś za mało.

PANNA BARBARA (figlarnie). Sprobuj, sprobuj tak jak tamta...

BRONCIA. Muszę... (Siada przed biurkiem, podnosi głowę i wspiera ją na rękę).

SCENA XIV.

TE SAME, KATARZYNA (wchodzi z salaterką w rękę).

KATARZYNA. Ach, panno Barbaro! panno Barbaro, ratuj!

BRONCIA (przestraszona). Co się stało?

KATARZYNA. Moja *bujająca wyspa* znikła!.. moja *bujająca wyspa* tonie!

PANNA BARBARA. Kasienko! Jakies ty mnie przeraziła! Myślałam, że co gorszego się stało!

KATARZYNA. A jednak, trzymałam się przepisu, zaręczam pani; wzięłam sześć gotowanych jabłek, cztery białka i miałam wmieszać resztę...

PANNA BARBARA. Ależ zamiast mówić, trzeba ubijać...

(Odbiera od niej salaterkę i ubija sama).

KATARZYNA. A... to prawda, żem trochę pogawędziła sobie z Jakóbem; to może dla tego...

PANNA BARBARA. Dalej, śpieszmy się Gdzie jest to, co tu trzeba domieszać?

KATARZYNA. Przyniosę natychmiast. (Wybiega na prawo).

PANNA BARBARA (do Bronci). I cóż, ta dru-ga zwrotka?

BRONCIA. A właśnie myślę nad nią... (Odczytuje).

Czegoż ci życzyć, matko ukochana?

Czego?.. Pocięch z twych dzieci.

PANNA BARBARA (dyktuje).

Patrz na ich cnoty, ty, coś cnót jest wzorem.

BRONCIA. A tak, tak, doskonale. (Pisze).

KATARZYNA (wraca, niosąc cukier i esencję z kwiatu pomarańczowego; zagląda do salaterki).

Ach, panno Barbaro! Wyspa znów na wierzch wychodzi!

BRONCIA (pisze i powtarza sobie). *Patrz...*

KATARZYNA. Ależ patrzę, patrzę.

BRONCIA.*na ich cnoty, ty, coś cnót jest wzorem.*

KATARZYNA. To prawda, że panna Barbara jest wzorem cnót! Jakaż to śliczna pianka! Ach, żeby to nieboszczka pani sędzina Krukuska widziała!

PANNA BARBARA (dyktując).

Patrz na ich szczęście, ty co szczęście dajesz.

KATARZYNA. To prawdziwe szczęście, taka legumina.

PANNA BARBARA. (dyktując).

Niech zawsze w życiu idą twoim torem.

I... (Do Katarzyny). Essencji i cukru miałkiego...

BRONCIA (przestając pisać). Ależ... to nie rymuje!..

KATARZYNA (patrząc na salaterkę). Nie wiem, czy to rymuje czy, nie, ale widzę, że ślicznie się wznosi!

BRONCIA (powtarzając).

Patrz na ich szczęście, ty co szczęście dajesz.

PANNA BARBARA (dyktując).

Niech zawsze w życiu idą twoim torem.

I nie ustają, jak ty nie ustajesz.

BRONCIA (pisząc). Ależ ja właśnie tak myślałam... tylko nie umiałam tak wyrazić, jak pa... jak ciocia.

KATARZYNA (biorąc salaterkę). No, teraz to już potrafię sama zrobić resztę. (Do Bronci). Ach, panienko, bez panienczynnej cioci nie dałabym sobie była rady z tą *bujającą wyspą*. (Wychodzi prawem drzwi).

BRONCIA (na stronie). Ani ja z wierszami. (Do panny Barbary). Niewiem, doprawdy, jak podziękować.

PANNA BARBARA. Za to, żem zrymowała twoje myśli? Najważniejszą jest rzeczą, moje dziecko, mieć dobre myśli i uczucia i wyrażać je w czynie.

BRONCIA. Dziwi mnie to, żem nigdy nie słyszała o cioci zdolnościach do poezyi!

PANNA BARBARA. To się jeszcze nie nazywa zdolnością do poezyi, gdy kto pisze powinszowania i inne wierszyki okolicznościowe...

BRONCIA (z przejęciem). Skromność cioci jest dla mnie nauką, z której postaram się skorzystać.

PANNA BARBARA. To dobrze, moja duszeńko; ale mama może nadjechać; śpieszcie się wszyscy, śpieszcie.

BRONCIA. Dobrze, dobrze!

PANNA BARBARA. Jeśli tu przyjdzie, zatrzymam ją chwilę.

BRONCIA. Dziękuję! Ach, kochana ciociu, gdybyś nie była przyjechała, nie byłibyśmy

sobie dały rady! (Wychodzi lewymi drzwiami).

SCENA XV.

PANNA BARBARA SAMA.

PANNA BARBARA. I znowu mi przybyła

SCENA XVI.

(Pani Brzezyniecka wchodzi prawymi drzwiami).

PANI BRZEZYNIECKA. Już odebrałam pani pakunek i przywiozłam... Może go tutaj przynieść?



Różia i braciszek.

jedna życzliwa dusza. Ale pozostaje mi jeszcze najglówniejsza osobistość... głowa domu! Otóż i ona...

PANNA BARBARA. Serdecznie dziękuję! Niepotrzebny mi teraz. Ale mamy z sobą do załatwienia pewną sprawę...

PANI BRZEZINIECKA. Cóż takiego?

PANNA BARBARA. Usiądźmy przy sobie.
(Siada).

PANI BRZEZINIECKA (przysuwa do niej krzesło i także siada). I owszem.

PANNA BARBARA. Zdziwiłaś się pewnie pani, otrzymawszy list, zapowiadający moje przybycie?

PANI BRZEZINIECKA. Wyznaję, że się nie spodziewałam...

PANNA BARBARA. Że tu spadnie jak bomba stara kuzynka, której pani nie znałaś, a której imię było ci już niemiłe... Co, wszak prawda?

PANI BRZEZINIECKA (zakłopotana). Nie imię, tylko myśl o przyszłości, z tém imieniem związana.

PANNA BARBARA. Tak tak... uważacie mnie za okrutnego najeźdźcę, przybywającego wyprzeć was z waszjćj posiadłości...

PANI BRZEZINIECKA (smutnie). Kto ma wszelkie prawa do czegoś, nie może być nazwany najeźdźcą, lecz właścicielem.

PANNA BARBARA. Tém więcjćj, jeśli ma na to dowody przy sobie. (Wymuje z kieszeni papiery). Patrz pani.

PANI BRZEZINIECKA (smutnie). Wiém o tém aż nadto dobrze; pocóż mi to pani pokazujesz? Wiém, że masz prawo do Brzeziniec...

PANNA BARBARA. Ale kto wić, czy ja to prawo uznaję? Że brat mój, przez wzgląd na moje kalectwo, zapisał mi po śmierci twego męża to, co mu kiedyś dał jako dożywocie, to jeszcze niczego nie dowodzi.

PANI BRZEZINIECKA (zdziwiona). Jakto?

PANNA BARBARA. Cenić jego przywiązanie do mnie, ale jego rozporządzenia nie uznaję. Sumienie nie pozwala mi przyjąć tego spadku, który był powinien wam się dostać... To też ja go się wyrzekam! (Rozdziera papiery, wyjęte z kieszeni).

PANI BRZEZINIECKA (ze wzruszeniem). Co ja widzę? Jakażes wspaniałomyślna, kuzynko!

PANNA BARBARA. Wcale nie. Oddaję wam wieś, która do was należy, a zdobywam przyjaźń waszjćj, której nie miałam... Czyliż ja nie zyskuję na tój zamianie?

BRONCIA, ANIELKA i ZYGMUŚ (za drzwiami). Ciociu! Ciociu!

KATARZYNA (za drzwiami). Panno Barbaro! panno Barbaro!

PANI BRZEZINIECKA. Co się stało?

PANNA BARBARA. Cicho! (Pociąga panią Brzezinięcką na lewo; dzieci wchodzą prawem drzwiami; Broncia z bukietem, Anielka przebrana za Mużę, niosącą wiersze, Zygmus z widoczkiem w ręku).

SCENA XVII.

TEŻ SAME, DZIECI i KATARZYNA.

BRONCIA (wchodząc pierwsza). Już wszystko gotowe!

KATARZYNA (wbiegając z leguminą na półmisku). Panno Barbaro! *Bujająca wyspa* się udała.

BRONCIA (spozstrzegając panią Brzezinięcką). O mój Boże! Mama.

KATARZYNA. Ach, pani tu!

ANIELKA i ZYGMUŚ (*razem*).

O! Boże! Wszystko już na nie!

PANNA BARBARA (figlarnie). Cóż to szkodzi? Upprzedzimy mamę, że to ma być nie spodzianka.

PANI BRZEZINIECKA (z uśmiechem). A ma ma temu naturalnie uwierzyć... (Do panny Barbary). I tyś była w to wtajemniczona?

ANIELKA. A jakże. To ciocia mi dała te perły na dyadem.

BRONCIA. A mnie ułożyła wiersze.

ZYGMUŚ. A mnie wyrysowała Brysia na miejscu, gdzie była plama...

KATARZYNA. A mnie ubiła jaja...

PANI BRZEZINIECKA. Jedném słowem, że wszystkim wam dopomogła do tój niespodzianki... Ale na tém nie ogranicza się jćj dobroć dla nas... wyrzeka się ona praw swoich do Brzeziniec, do tój ukochanej wioski, którą ja miałam za straconą?

BRONCIA. Czy to być może?

ANIELKA. Jaka ciocia dobra!

KATARZYNA. A panienki tak się krzywiły na ten przyjazd panny Barbary!

ZYGMUŚ (półgłosem i zmieszany). A ja chciałem uciec, gdy ciocię zobaczyłem!

(BRONCIA i ANIELKA spuściły oczy i okazują zakłopotanie).

PANNA BARBARA (z uśmiechem). Bronciu i Anielko! Czy to prawda, duszeńki?

PANI BRZEZINIECKA (poważnie). Prawda, prawda.

BRONCIA (podechodzi i ujmując pannę Barbarę za rękę). Ale teraz, gdyśmy ciocię lepiej poznały, wstydzimy się swoich uprzedzeń...

ANIELKA (ujmując za drugą rękę). I ufamy, że nam to przebaczy!

PANNA BARBARA. Nie tylko wam przebaczę, ale kochać was będę, moje dzieci, tak kochać, że aż przy was zamieszkam. Czy zgoda?

Wszyscy (jednogłośnie niewyjmując Katarzyny). Ach, zgoda, zgoda.

PANNA BARBARA (całuje dzieci i ściska za rękę panią Brzezinięcką, Katarzyna zaś całuje ją w rękę). Niechaj to zdarzenie będzie dla was nauką, moje dzieci i niech wam wrazi w pamięć pewne przysłowie...

ANIELKA. Jakie?

PANNA BARBARA. Że nie trzeba nigdy sądzić z pozorów, gdyż *pozory często mylą*.

KONIEC.

RYCERZ BŁĘKITNY.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ Teresę Jadwigę.

I.

Izdebka była niewielka, taka zupełnie, jakie dziś w wielu chatach wieśniaczych spotkać można, z pułapem tak niskim, iż dorosły człowiek nieledwie głową go dosięgał, z dwoma małemi okienkami, ze ścianami bielonymi. Ale mimo tego ubóstwa, miło się było po niej rozejrzeć, bo w każdym kątku było schludnie, biało, jasno i czysto; podłoga zamieciona, żółtym piaskiem wysypana, ściany ustrojone gałązkami ściętkowemi, a na kominku buchał płomień suty. Przed kominkiem, na wygodnem, wspinałem krzesło o poręczach rzeźbionych, siedział starzec postawy dostojnej, rysów twarzy szlachetnych, ubrany w kontusz jedwabny; nieco zaś dalej pod jednym z okien dwie młode i śliczniuchne dziewczki, jedna czarnooka, druga jasnowłosa, przedły

na kołowrotkach. Obie miały na sobie ciemne mundurki z wojłoku domowego i granatowe kontusiki sobolami oszyte, bo to był już Październik i śnieg pruszył na dworze. W izbie głucha cisza panowała, tylko głos świerszyczka, co pod podłogą gdzieś w kącie się odzywał, tylko warczenie kołowrotek i trzask płonącego ognia słyszać było, ludzie milczeli, a nawet przypatruwszy się lepiej każdej z tych twarzy, widać było na nich jakąś troskę. Dzieweczki niby to pilnie przedły na kołowrotkach, a jednak co chwila rzucały ukradkowe spojrzenia pełne niepokoju na siedzącego w fotelu mężczyznę, potem patrzyły na siebie smutnie, lub pochylały się jedna do drugiej i coś szeptały o nim widocznie. Starzec nie widział tego wszakże, wzrok miał bowiem wlepiony nieruchomo w płomień. Na czole jego rysowała się głęboka bruzda, usta ściśnięte były gniewem, bólem, czy zamyśleniem. Jeszcze rano widziały go jednak w dobrym humorze, uściskawszy je po śniadaniu, rzekł wesoło:

— Pojadę dziś na cały dzień do stryja Kolasantego, będziemy polować na niedźwiedzia, ale na wieczrę wrócę do domu, niechże będzie smaczna i suta, bo po trudach jeść się będzie chciało.

Dzieweczki przygotowały wieczrę i dziadus powrócił wcześniej nawet niż się spodziewały, ale taki jakiś inny! nie uściskał ich na powitanie, nie spojrzał nawet, gdy skoczyły ku niemu, by ręce mu ucałować, zrzucił czapkę i szubę w sieni, a wszedłszy do izby siadł w krzesło zasepiony, o wieczrę ani zapytał.

Wylękle wróciły do kołowrotek, same nie wiedząc co czynić; pytać nie śmiały, co mu jest, a jednak radeby były wiedzieć, więc patrzyły niespokojnie, to na niego, to na siebie i radziły po cichu, lub obracając kółka zamyslały się smutnie... Już godzina upłynęła od czasu, jak dziadus powrócił, a jeszcze nie przemówił do nich słowa.

Nagle starzec podniósł głowę, wyprostował się w krzesle i spojrzał na wnuczki wzrokiem je przyzywającym. Dziewczyńki puściły nitki, zerwały się z krzesełek i stanęły w postawie wyczekującej... Kołowrotki głośnieję zawracały, kółka obróciły się same kilkakrotnie,

poczem wszystko ucichło... Starzec, jakby czekał na tę chwilę, westchnął ciężko i czoło ręką przetrął, następnie odezwał się głosem ponurym:

— Róziu, Ludwinko, zbliżcie się tutaj, mam wam coś powiedzieć.

Panienki postąpiły nieśmiało, głos dziadka posępny, groźny, nie dobrego nie zapowiadał; stanęły przed nim z oczyma w ziemię spuszczone. On chwilę popatrzył na nie, jakby z żalem, poczem rzekł znowu.

— Smutną rzecz zmuszony wam jestem powiedzieć, nie zobaczycie więcej Wacława.

— Wacława! — krzyknęły obie i przypały do dziadka, przyklekły u nóg jego i chwyciły jego ręce. — Czy zginął? — zapytały.

— Gdyby zginął, wołałbym stokroć, — odparł starzec z rozpaczą i wysunawszy dłonie z rąk wnuczek ukrył w nich twarz. One podniosły się i znowu patrzyły trwożne, zmieszane, to na niego, to na siebie. Po chwili dziadunio odsłonił twarz.

— Nie macie już brata, — rzekł głuchym głosem; — nie zginął, ale nie zobaczycie go więcej; żyje, ale progu tego domu nigdy nie przestąpi; żyje, ale imienia jego nigdy nie posłyszycie, bo go więcej nie wymówię nigdy i wam też zabraniam go wspominać.

Dziewczęta pobladły; w czarnych oczach Rózi łzy błysnęły, ale je wstrzymała, jasnowłosa Ludwinka łkać poczęła.

— Dziaduniu — wyjąkała zbliżając się do starca nieśmiało, za co taka niełaska na niego, czyś ty w tej chwili nie zanadto surowy...

— Zanadto surowy? o nie dziecko — odparł dziadek łagodnie — nie jestem surowy. On skalał nasze gniazdo, on rzucił płamę na ród Żywickich, on zhańbił szablę ojcowską, ja inaczej postąpić nie mogę; gdyby żył jego ojciec, powiedziałby toż samo.

— A matka, — szepnęła Ludwinka.

— Matka umarłaby chyba z żalu; podziękuj dziecie Najwyższemu, że nie dożyła tej chwili.

Tu znowu umilkł i głowę zwiesił na piersi. Ludwinka uklękła przy nim i oparłszy czoło o poręcz krzesła, łkała, Rózia siadła na stojącej ławie przy kominku, sparała ręce i zadumała się posępnie.

— I ktoby się tego spodziewał — zaczął po niejakić chwili starzec, ale głosem już

znacznie większym — ojciec zginął mężnie, jak rycerz, pod Kirchholmem; gdy mi szablę jego oddali towarzysze, powiedzieli: „Waleczny to był żołnierz.“ Matka z zacnego domu pochodziła, a kiedy umierając powierzała mój opiece troje sierot, powiedziała mi: Mam nadzieję, że z Wacława doczekasz się ojeze pociechy! I ja miałem tę nadzieję; chłopak był odważny, nie bał się szabli i konia, był karny i zacne miał serce, i ktoby się był tego spodziewał? sam wszakże chciał iść na tę wyprawę, jam go nie namawiał.

Tu łza cicha stoczyła się po twarzy starca, zmarszczkami pooranej, umilkł i oczy ręką zasłonił. Niebawem opuścił wszakże rękę; wyraz rozczulenia znikł teraz z jego oblicza, spojrzał surowo na dziewczęta.

— Otrzyjcie łzy i nie myślcie więcej o tym, który jest niegodny żalu naszego — rzekł ostro — ważniejsze rzeczy mamy do oplakiwania... Wojska nasze rozbite, część poległa na polach Cecorskich, część wzięto do niewoli... zacny hetman Żółkiewski nie żyje.

— A Wacław gdzie? czy w niewoli? — spytała nieśmiało Ludwinka.

— Niech usta twoje ostatni raz odważą się w obecności mojej wymówić to imię; czy słyszysz, dziewczyno? ostatni raz przebaczam ci to zapomnienie.

To powiedziawszy, dziadunio spojrzał tak groźnie na Ludwinkę, iż tej łzy płynąć z oczów przestały; drżąca, blada, siadła obok Rózi, słowa nieśmiejac przemówić.

W tej właśnie chwili otwarły się drzwi od przyległej izby i ukazał się w nich pacholek.

— Wieczereż podano — rzekł, otwierając szerzej podwoje.

— Idziemy natychmiast — odparł starzec, głosem na pozór spokojnym, — a ty pobiegnij tymczasem do izdebki panicza i wynieś ztamtąd wszystko na strych: łóżko, skrzynię, broń, rozumiesz, wszystko; potem wnieś swoje rupiecie, będziesz tam sypiał teraz... Gdy będę wracał z wieczery, chcę aby izba była już sprzątniętą, rozumiesz?

Chłopak zdumiony roztworzył szeroko usta, nie ruszał się wszakże z miejsca.

— Czyś nie słyszał rozkazu? — krzyknął starzec i nogą tupnął, — idź natychmiast.

Chłopiec drgnął i wolnym krokiem się oddalił, jakby mu nie miły był ten rozkaz.

Starzec odwrócił się do dziewcząt.

— Idziemy — rzekł cichszym głosem.

Wojewoda Żywiecki zamożnym był obywatel, a ród, z którego pochodził, do najzamożniejszych w kraju się liczył. Ojciec jego, dwóch braci, syn, polegli w obronie ojczyzny, on sam w niejednej wyprawie bywał, władał szablą, dopóki siły pozwoliły i w nagrodę otrzymał tę oto wioskę, w której teraz mieszkał, położoną w województwie kijowskiem, zwaną Sobotówką. Choć wioska była piękna, pola urodzajne, choć wojewoda liczył w szkatułce sporo grosza, że przecież nie lubił świecić ludziom w oczy, jak to mawiał zwykle, więc mieszkał w chacie prostej, snopkiem krytej, w niskich izdebkach i ciche wiódł życie. Dom jego tém się tylko różnił od innych chat wieśniaczych, że był nieco większy i że wojewoda kazał go rowem otoczyć, a po za nim urządził sobie sad obszerne. Lecz izba, do której teraz przeszedł, zdradzała już nieco zamożność mieszkańców domu; pod ścianami stały olbrzymie szafy, w nich było widać księgi i zwoje pergaminowe, na złotych łańcuszkach przykute; wysokie rzeźbione krzesła stały między temi szafami, a w pośrodku wielki stół białym obrusem zasłany, na którym błyszczały srebrne wielkie lichtarze, półmiski i dzbany; z półmisków rozchodził się nęcający zapach pieczonego mięsiva, w dzbanach widać było pieniące się piwo.

Wieczera ściągnęła do jadalni zwykłych domowników wojewody, starego klucznika, Zaliwę, ekonoma i pisarza; wszyscy trzej stali pod jednym z okien, szepcząc między sobą; gdy wojewoda ukazał się w progu drzwi, rozstąpili się natychmiast i powitawszy go pokornymi ukłonami, zbliżyli się do stołu. Wojewoda skinął im głową, siadł chmurny, wnuczki obok niego i rozpoczęto wieczerzę. Widząc zasepienie pana, domownicy nie śmieli się odzywać, w milczeniu upłynęło chwil kilka, ale później, czy siłą woli, czy też machinalnie, wojewoda otrząsnął się i rozpoczął rozmowę; klucznika zagadnął o zdrowie, ekonoma o gospodarstwo, pisarza o coś innego i powoli gawęda się zawiązała.

Ośmielony stary klucznik zapytał się, czy

to naprawdę wieści przyszły, że hetman Żółkiewski poległ pod Cecorą, a tabor jego rozbitym został?

Wojewoda potwierdził wiadomość; szerzej nawet opowiedział o wypadku, kto poległ, kto się dostał do niewoli, ale choć każdemu było wiadomem, że wnuk jego, Wacław, miał udział w tej wyprawie, o nim ani wspomniał. Dziwiło to klucznika, jednak pytać nie śmiał.

Wreszcie wieczerzę ukończono, domownicy naprzód się rozeszli, wojewoda podniósł się z krzesła, pocałował wnuczki z kolei i już się oddalić miał do siebie, gdy w tém rozwarły się drzwi i ukazał się w nich ten sam pacholek, któremu wojewoda wydał przed chwilą tak surowe rozkazy.

— Jaśnie panie, — rzekł zbliżając się do dziadunia, — jakiś konny przywiózł to pismo i prosi o odpowiedź. — To mówiąc wyciągnął rękę z listem.

Wojewoda sięgnął po papier, spojrzał nań, i na twarz jego wystąpił silny rumieniec. Chwiejnym krokiem zbliżył się do stołu, dobył z zanadza ołówek, pochylił się i na odwrotnej stronie papieru coś nakreślił, poczem zwrócił się do pacholka.

— Oto odpowiedź — rzekł.

Pacholek wziął papier i znikł za drzwiami, a wojewoda odszedł do swej komnaty.

Różia i Ludwinka, które przez całą wieczerzę i potem podczas zjawienia się pacholka słowa nie wymówiły, spojrzały na siebie.

— I cóż ty myślisz o tém wszystkiem, siostrzyczko? — odezwała się pierwsza Ludwinka. Różia westchnęła, łozka zakręciła się w jej oku.

— Cóż mam myśleć? ciężko mi na duszy, oto i wszystko — odparła po chwili.

Ludwinka popatrzyła na nią.

— Czyż sądzisz, że Dziadunio nie da się przekonać.

— Alboż go nieznasz?

— A gdybyśmy spróbowały prosić.

— Prosić? wszakże zabronił jego imienia wymawiać, czyż chcesz, żeby i na nas się pogniwał?

— Więc ty myślisz tak rzeczy zostawić?

— A cóż chcesz, żebyśmy robiła?

— Ależ, Róziu, on może tak dalece nie przewinił.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Metal najszacowniejszy i wartość pracy. Gdyby kto zapytał, jaki metal jest najszacowniejszy, niejeden z was zapewne, czytelnicy, odpowiedziałby bez wahania, że złoto. I niezawodnie bryłka surowego złota droższą jest od podobnej bryłki każdego innego metalu; ale trzeba o tém wiedzieć, że taż sama ilość złota, przerobiona na monetę, lub jakąś ozdobę, mało co więcej kosztuje, podczas gdy inne metale, w skutek pracy i przemysłu człowieka, mogą nabyć daleko większej wartości od złota. Gdyby przez jakiś szczególny wypadek znikło na ziemi wszystko złoto, nie wielebyśmy na tém ucierpieli, bo monety mogłyby się wyrabiać z innych metali, a bez kosztownych ozdób obeszlibyśmy się z łatwością. Ale wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby nagle zabrakło żelaza! W każdym domu, najuboższym nawet, jest mnóstwo przedmiotów żelaznych, bez których już dziś obejść się nie podobna, bo co tu poradzić bez nożów, nożyczek, igieł, bez zamków u drzwi i sprzętów domowych? A cóż dopiero powiedzieć o kolejach żelaznych, o fabrykach, gdzie wszystkie narzędzia są po większej części żelazne. Cały nasz przemysł, źródło bogactwa krajów oświeconych, źródło naszych wygod, najpożyteczniejsze rękodzieła, wszystko to upadłoby w braku żelaza i od razu doszlibyśmy do prawdziwej nędzy.

A jednak żelazo, tak jak jest w ziemi znajdowane, to jest ruda żelazna, najczęściej czerwona i krucha, naksztalt tego, co nazywamy rdzą, nie może się na nic przydać. Dopiero przemysłem i pracą człowiek najpierw tę rudę oczyszcza, wydobywa z niej metal twardy i trwały, a następnie z tego metalu wyrabia tyle pożytecznych i szacownych przedmiotów. To też żelazo zmienia swoją wartość stosownie do doskonałości wyrobu. Prosty jakiś gwoździ, lub śrubka żelazna, nie wiele zapewne kosztuje, ale żelazo może być przerobione na wyborną stal, a z tej stali wyrabiają się najdelikatniejsze sprężyny do zegarków. Otóż, obliczono, że gdybyśmy wzięli takich sprężyn tyle, ile zaważy jeden dukat złoty, to musielibyśmy za nie zapłacić około 400-tu dukatów; to znaczy, że umiejętna

praca człowieka podniosła wartość tego kawałka żelaza o 400 razy wyżej od wartości złota. Piękna to rzecz umiejętność i praca!

Zagadka geograficzna.

Jaka to rzeka zmienia nazwisko swoje trzy razy, a wpadając do morza dwoma ramionami; jeszcze dwie odmienne nazwy przybiera? Pierwsze nazwisko ma niedaleko od źródła, gdy wypłynąwszy z bagnistej okolicy, małym jest jeszcze strumieniem; drugie, gdy połączywszy się z inną rzeką znacznie się rozszerza, płynie najpierw równiną, później głębokim wąwozem i tam jej brzegi słyną z malowniczych widoków, szczególnie w okolicy pewnego starożytnego miasta; trzecie ma nazwisko, gdy przechodzi w bagniste niziny, szeroko bardzo się rozlewa i do morza się zbliża. Przy ujściu dwa jej ramiona, odmienne nazwy noszące, znacznie się od siebie oddalają. Rzeka ta ma liczne dopływy, a najznaczniejszy z nich, z prawej strony wpadający, płynie pod murami sławnego miasta.

Łamigłówka zgłoskowa

przez M. i C. dla prahabei.

Z 16 zgłosek: bab—czę—da—e—i—kół—lek—na—na—nie—ród—sto—dziu—tur—wa york—ułożyć ośm wyrazów oznaczających:

- 1) Imię męskie.
- 2) Imię żeńskie.
- 3) Rzeczownik oznaczający ludność.
- 4) Rodzaj ogrodzenia.
- 5) Imię w 5 przyp.
- 6) Bogacza.
- 7) Nazwy gór.
- 8) Miasto.

Początkowe litery od góry do dołu odczytane, tworzą imię, a końcowe, także od góry do dołu, nazwisko sławnego polskiego pisarza.

Łamigłówka kryształowa. (Janek Kw.)

- 1) Spółgłoska.
- 2) Rzeka.
- 3) Zwierzę.

- 4)
- 5) Stopień wojskowy.
- 6) Miara angielska.
- 7) Samogłoska.

Środkowe litery od góry do dołu i rząd środkowy, tworzą nazwisko sławnego malarza.

Łamigłówka kwadracikowa. (W. G.)

W kwadraciku z 20 podziałek ułożyć:
8 A—1 C—1 F— 2 K— 2 Ł— 2 O—2 P—
3 R—2 T—1 U—1 W— ażeby odczytać w poziomym i pionowym kierunku wyrazy oznaczające: 1) Płyn, 2) Przedmiot zwykle z żelaza zrobiony, 3) Imię, 4) Miasto i rzekę, 5) Gmach.

Rozwiązania do Nru 15.

Zadania konikowego:

Przyszedł kwestarz z puszką, o jałmużnę
[prosi,

Każdy mu co może do puszek przynosi—
Małeńka dziecina coś także dać chciała,
Nie miała pieniążków, więc buzi mu dała.

St. Jachowicz.

S z a r a d y : N a u k a .

Łamigłówki zgłoskowej.

- 1) Kucyk.
- 2) Ugor.
- 3) Góra.
- 4) Lis.
- 5) Ali.
- 6) Rylec.
- 7) Zamek.
- 8) Elki.

Kuglarze—Krasicki.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Halince i Zosi K. w Słomczycach. Ponieważ nasze łamigłówki tak się wszystkim podobają, będziemy ich coraz więcej podawać i to jaknajrozmaitszych. Cieszymy się, że i poważniejsze rzeczy w piśmie naszym są z zajęciem czytane. Takie miłe liściki pożądane są dla nas i bez rozwiązań zagadek; zawsze też najchętniej na wszystkie odpowiadamy. Adres poprawiony.

Mundziowi S. Kto sam wiele ma zajęcia, a jak z liściku sądzić można, pilnie i gorliwie pracuje, ten umie

wartość czasu ocenić. Ale dla nas, w chwilach odpoczynku najmielszą jest rozrywką odczytywać uprzejme liściki i odpowiadać na nie. Zagadki historyczne i geograficzne będziemy odtąd stale podawać. Nadesłane zadanie arytmetyczne zamieścimy także, ale troszkę później, bo mamy na długo przygotowany zapas. Życzymy powodzenia w naukach, a mamy nadzieję, że i przy pracy znajdzie się czasem swobodna chwila do napisania kilku słówek.

Wacłowi L. Rozwiązania trafne i bardzo dobrą kalfografią napisane, a nadesłana łamigłówka jest wyborna i będzie drukowana. Siostrzyczce załączamy ukłony; kiedy tak dobrze odgaduje szarady, pewnie też i liścik sama napisać potrafi i prześle nam niezadługo.

Gucłowi N. w Kamionce. Szkoda, że liścik taki króciutki, ale tak ładnie i starannie napisany, że musimy zań podziękować. Łamigłówka dobrze odgadnięta.

Władysławowi G. Rozwiązanie trafne i starannie napisane, odczytaliśmy z przyjemnością. Bardzo nam miło, że się *Wieczory* podobają i nadal zaprenumerowane zostały. Pierwszy krok zawsze najtrudniejszy; teraz już zapewne nie nie przeszkodzi dalszej korespondencji, bo my na każdy liścik najchętniej odpowiadamy.

Janince D. w Sochaczewie. Jak to dobrze troszkę popracować; teraz zagadka lepiej ułożona, ale jednak wierszyk nie tak jeszcze ładny, żebyśmy go mogli drukować, tém bardziej, że mamy już mnóstwo udatnych i wcześniej przygotowanych. Łamigłówki trafnie rozwiązane.

Józłowi M. w Łodzi. Jeżeli pierwszy raz w życiu tak doskonale się udało, to już nadal pewnie daleko prędzej, niż w pół godziny, wszystkie nasze łamigłówki będą odgadywane. Czekamy dalszych wiadomości.

Mani Gr. Bardzo dziękujemy za liścik tak miłutko napisany, pomimo braku czasu. Trzeba się starać wcześniej kończyć zadania, bo dla młodych dziewczątek nie zdrowo jest siedzieć do 12-ej godziny w nocy. Siostrzyczce Helci śliczne ukłony zasylamy. Łamigłówka trafnie odgadnięta.

Erazmince G. Czy to być może, ażeby potrzeba było... aż odwagi, do napisania liściku, który nam taką sprawił przyjemność? *Opowiadania naukowe dziadunia* będą stale zamieszczane przez cały rok i cieszymy się bardzo, że się podobają. Nie możemy ich jednak podawać częściej, ażeby znowu nie znudzić czytelników; musimy też i na inne przedmioty zostawić miejsce. Zwyczaj głośnego czytania, a zwłaszcza przy osobie starszej, jest bardzo pożyteczny. Dziękujemy także za wiadomość, że się wierszyk tak podobał. Łamigłówki obie dobrze rozwiązane.

Irencie M. Otrzymaliśmy trafne rozwiązanie łamigłówek. Na drugi raz spodziewamy się, że liścik będzie dłuższy, a wtenczas dłuższą zamieścimy odpowiedź.

Wacł i Rózi. Nadesłane łamigłówki wydrukujemy chętnie; dziękujemy szczególnie za to, że są tak czytelnie i ładnie napisane.

P. Maryi J. Serdecznie wdzięczni jesteśmy za wyrazy współczucia. Mamy różne projekta, które powoli wejdą w wykonanie, jeśli im Bóg pobłogosławi. Dodatek stale odtąd będzie dołączany, ale nie przy każdym Nrze pisma, gdyż toby zbyt wielkie przyczyniło kosztu. Słusznie pani powiada, że piśmko nasze jest tanie, a więc dla każdego przystępne. Nie możemy jednak rozszerzać zbytecznie jego objętości, musielibyśmy bowiem w takim razie i cenę podwyższyć.

Berci. Liścik, jak na dziewczynkę ośmioletnią, ślicznie napisany, a łamigłówka rozwiązana trafnie. Za wiadomość, że *Wieczory* z przyjemnością są czytane, dziękujemy bardzo.

Panu K. w Stawiszynie. Miła to dla nas wiadomość, że komedyjka nasza posłużyła do tak pięknego celu. Rubel 1 przeznaczony dla Sandomierzan dotkniętych powodzią, oddaliśmy do redakcyi *Ichsa*, gdzie składamy wszystkie ofiary na cele dobroczynne, przesyłane na nasze ręce. Adres żądany: Oboźna Nr. 1.

Od E. P. ze Stelmachowa, otrzymaliśmy także dla Sandomierzan kop. 75.

PRZY GRZE W ŚLEPĄ BABKĘ.

Słowa St. Jachowicza.

Muzyka J. Czubskiego.

Śpiew.

First system of the musical score. The vocal line (Śpiew.) is in 2/4 time, starting with a forte (f) dynamic. The piano accompaniment (Piano.) is in 2/4 time, also starting with a forte (f) dynamic. The lyrics are: Kół-ko krąż, kół-ko krąż, a ty bab-ko ocz-ka wiąż Kół-ko krąż, kół-ko krąż.

Piano.

Second system of the musical score. The vocal line continues with lyrics: a ty bab-ko ocz-ka wiąż. Już ocz-ka zwią-za-ne, w środ-ku so-bie sta-nę, klask, klask, with a forte (f) dynamic. The piano accompaniment includes a section marked "FINE." and ends with a forte (f) dynamic.

Third system of the musical score. The vocal line continues with lyrics: klask, zni-knął z o-czu blask, klask, klask, klask, zni-knął z o-czu blask. The piano accompaniment continues with a forte (f) dynamic.

D. C. al fine.

Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Апрѣля 1880 года.—Redaktorka i Wydawczyni **Ludwika Hauke.**

Czcionkami M. Zienkiewicza i W. Noakowskiego, Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.